

## WACŁAWA REJMAK ur. 1919;



<b>Tytuł fragmentu relacji</b>	Gimnazjum Kanoniczek na ulicy Podwale 11
<b>Zakres terytorialny i czasowy</b>	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
<b>Słowa kluczowe</b>	Lublin, gimnazjum sióstr Kanoniczek na ulicy Podwale 11, szkoła, mundurek, Gimnazjum Żeńskie Sióstr Kanoniczek, stosunki polsko-żydowskie, Seminarium Nauczycielskie

### Gimnazjum Kanoniczek na ulicy Podwale 11

Dojeżdżałam z Nałęczowa do Lublina, do gimnazjum sióstr Kanoniczek na ulicy Podwale 11. Nie dostałam się wtedy do Unii, dlatego poszłam do Kanoniczek. Wstąpiłam do czwartej klasy gimnazjum, bo poprzednio była tam powszechna szkoła, a wtedy już się zaczęło gimnazjum. Jeszcze szkoła nie miała praw państwowych. W czwartej klasie było na pewno coś ponad 20 koleżanek. Warunki były bardzo skromne. Mieliśmy niewielkie klasy. Nie było sali gimnastycznej. Była taka salka zrobiona, tylko z jakichś klas połączona, ale nic nie było, ani urzędzeń, ani nic. Ze mną zaczęła uczyć się Eleonora Maziarczyk i Jadwiga Mazurek. I też dojeżdżały z Nałęczowa. A innych nazwisk, to trudno jest pamiętać po tych iluś tam latach.

To było gimnazjum typu humanistycznego. To zaczęło się właśnie w trzydziestym drugim roku. Czasem miałam lepsze stopnie, czasem gorsze. Mieliśmy różne przedmioty. Ja niestety w powszechnej szkole uczyłam się niemieckiego, a tu był tylko francuski, więc musiałam się zacząć uczyć od nowa francuskiego. Koleżanka z ósmej klasy udzielała nam korepetycji. Oczywiście trochę to było odpłatnie. Później co było? Łacina była, fizyka, matematyka, polski, jeszcze historia i francuski, no i religia. Dyrektorem był ksiądz doktor Zalewski, profesor. Później była Janina Karafiatowa. Naszą wychowawczynią była pani Maria Goćłowska. Ona uczyła francuskiego, ale była świetną wychowawczynią, uczyła jak się ubrać, jak usiąść przy stole. Gimnastyczką była pani Krajewska. Od polskiego była pani Ditrych. Religii uczył ksiądz Matyjaszczyk. A nas historii uczyła pani Irena Krychowska. To była Żydówka z pochodzenia, ale ona może trochę za bardzo zwracała uwagę na daty, a za mało na fakty. Przypuszczalnie pani Krychowska była przechrzcianką, bo jej mąż miał na Krakowskim sklep z winami mszalnymi. Ona w czasie okupacji przechowywała się w okolicach Nałęczowa. Widocznie obawiała się może jakichś sankcji.

U nas jeszcze w szkole w podwórzu był domek niewielki, gdzie mieszkały siostry kanoniczki. One tam prowadziły internat dla takich, które z daleka były, czy na chwilę przyjechały. I tam był internat i była stołówka. Ja też tam mieszkałam w ósmej klasie, ale to kilka miesięcy tylko, bo już z Nałęczowa było za ciężko dojeżdżać, żeby zdawać tu maturę. Do szkoły dojeżdżałam pociągiem. Za podróż nikt mi nie zwracał. A jeszcze do pociągu miałam dwa i pół kilometra i nie

było szosy, nie było niczego. Rano się wstawało o godzinie piątej, trzeba było pójść do stacji kolejowej, dojeżdżać. Mieliśmy wagon. Właściwie to później był wagon, a początkowo to tylko tak, gdzie się siadło, ale nas bardzo dużo dojeżdżało. Od Dębłina do Lublina dojeżdżała młodzież. Byli tacy, którzy na studia uniwersyteckie dojeżdżali, ale byli tacy, co do Staszica dojeżdżali, do Zamojskiego, do Seminarium Nauczycielskiego. Bo było takie Seminarium Nauczycielskie tu, gdzie teraz jest Wojewódzki Dom Kultury [obecnie Wojewódzki Ośrodek Kultury], to tu było Seminarium Nauczycielskie. No i do Sobolewskiej dojeżdżały, do Kunickiego i do gospodarczych różnych...

Jeszcze tu chodziła siostra Szymoniakówna Honorata razem ze mną do klasy, która miała czepeczek taki tu, tasiemeczkę, i ona miała być zakonnica. Ona pochodziła z gór i matka umarła wcześniej i ojciec dał ją do sióstr, żeby ją tu wykształciły i żeby ona wstąpiła do zakonu. No i tu była, ale po maturze podobno wyszła za męża i nie wstąpiła do zakonu. Poza tym ja miałam koleżanki: z Lubartowa były dwie siostry Szulcówny, z Lublina było sporo, Majsnerówna, ale to nie była Żydówka na pewno, chociaż nazwisko takie mogło by być. Dwie Żurawskie, nawet trzy, córki leśnika spod Kraśnika. To była Basia, Halina i Stasia. No ale dwie już nie żyją, jeszcze jedna żyje tylko. Szulcówny też chyba raczej nie żyją. Z tymi się przyjaźniłam. Maturę to nas zdawało chyba coś około trzydziestu paru osób. Jeszcze w 34 roku szkoła nasza dostała prawa państwowe. To było ważne, dlatego że poprzednio matury - no, niewiele było tych matur, bo w 1927 roku szkoła najpierw powszechna była, a później ta szkoła średnia - to musieli zdawać ze wszystkich przedmiotów, a ja już nie musiałam z tych wszystkich przedmiotów zdawać.

Do szkoły chodziliśmy w mundurkach. Były brązowe mundurki. Spódniczki były najczęściej karbowane, jak to się mówi. I do tego bluzeczki z marynarskim kołnierzem. I w zależności od klasy były naszywane białe tasiemki. Czwarta klasa to miała trzy: jedna szersza, druga węższa tasiemka. I czapki mieliśmy też. Rogatywki białe z brązowym otokiem i ze sznurkami. Bo wtedy jeszcze tarczy nie było. Ale ja uważam, że to było bardzo dobre, bo przynajmniej było wiadomo, że to jest uczennica, czy ktoś. To było Gimnazjum Żeńskie Sióstr Kanoniczek. Tam chłopcy nie chodzili. To było bardzo blisko zamku, po drugiej stronie za płotem był Zakon Wojcieszków.

Teresa Milbartówna to była córka lekarza wojskowego z Sandomierza i ona właśnie mieszkała w internacie. Dlaczego to mówię? Bo tam, chociaż to był internat dla takich, którzy przyjechali, to były dwa stoły, to tak się nazywało. I te osoby, które płaciły więcej to dostawały lepsze wyżywienie. No, a ona przecież wiadomo, że dostawała. Miała opłaconą szkołę, wyżywienie i jeszcze raz na dwa tygodnie dostawała paczkę żywnościową i pieniądze na drobne wydatki. To jak na drobne wydatki było, to ona nałożyła kapelusz, bo miała taki kapelusik jakiś, i pod górkę szła na Stare Miasto i tam albo się umawiała z chłopakiem, albo do kina chodziła, no bo kino było przecież na Starym Mieście. No i tak kupowała sobie różne rzeczy. Jak jaj dali, żeby sobie kupiła pantofle, to ona powiedziała: "To pantofle kupię za 20 złotych, to ja sobie kupię dwie pary po dziesięć złotych". No i tak. Niestety ona już umarła, i ja się z nią przyjaźniłam bardzo. To była dziewczyna bardzo uzdolniona, także po maturze pojechała na rok do Paryża i była w Akademii Sztuk Pięknych. Kiedy przyjechała na wakacje do domu to już została, bo wojna wybuchła. Dość często ja się z nią spotykałam. Wyszła za męża, mieszkała w Pionkach, najpierw z jakimś tam pracownikiem Najwyższej Izby Kontroli, a później mieszkała w Warszawie i w Warszawie jest pochowana na Wólce. A jej ojciec poszedł na wojnę jako lekarz wojskowy i nie wrócił. I mówiło się, że został zabity, ale gdzie - też nic nie wiadomo. A ponieważ to było nazwisko Milbert, to ona jeszcze w czasie wojny z matką i z bratem siedziały na Zamku, bo nie chciały zostać volksdeutschami. Także siedziały tu na Zamku.

W powszechnej szkole kolegowałam się z Żydówkami. Bardzo się przyjaźniłyśmy. To była Zyserówna jedna, a druga - to już nie pamiętam. Jedni mieli sklep z pieczywem. I ta dziewczynka chodziła. A drudzy mieli, zdaje się, jakiś sklep spożywczy. I jeszcze był sklep, Wągie się nazywał. To było ryż, mydło i powidło - wszystko tam było w tym sklepie.

Data i miejsce nagrania	2001-10-28, Lublin
Rozmawiał/a	Marta Grudzińska
Transkrypcja	Marta Grudzińska
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"